

Wychodzi w niedzielę, z dodatkiem n. u-
zykaljów, mód, wzorów i krojów.

Cena:

kwartalnie 1 złr.
półrocznie 2 „
rocznie 4 „

Z dodatkiem:

kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr.,
rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową
dolicza się 15 ct kwartalnie.

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:

„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie
w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opła-
cają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

(Ciąg dalszy.)

Słońce możeby i chciało odkryć oczy turkom, prze-
darło się przez mgłę — późno! czajki kozackie, jak stado
kaczek, wpadły pomiędzy szuwały, i śladu po nich nie zo-
stało! — Wierne morze! Od tego się i zowie kozackiem,
że zawsze stawało siczowym w przygodzie.

Markotno Sultanowi w Stambule. Hołota kozacka nie
daje mu marzyć spokojnie, choć nie żałował haszyszu.

Janczary i spahy bronią sultana, bramy miasta po-
obsadzone żołnierzem, choć o wrogu ani słyhu nie ma —
a przecież nie wesoło prawowiernym. Rozdroczyli rój
szerszeniów, a teraz drzy skóra. Tak wam trzeba po-
hańcy! siedzieliby cicho w domu, a nie napierali się gwiazdy
z nieba!... Kosz w oczy kole nie jednego — a wszyst-
kim do niego zasie! Będzie i wam nauka!

Tam mądrość u Koszowego, że nie wiesz zkąd jej tyle nabrał!

Dziwiło się kozactwo: poco z ostrowów zabiera ja-
kieś deski wymalowane? co w ciężkich skrzyniach, które
brało do czajek? — a w szuwarach dopiero dowiedzieli
się prawdy: deski przypasowano do czajek — wyszły
kaiki tureckie, a w skrzyniach — turbanów bez liku...
Przez noc poprzystrajało się kozactwo — iste turki... Nu,
już rozum u Koszowego! Taką łodzią, w turbanach, choć
dnem płyn do Carogrodu — nikomu się nie przyśni
zatrzymać... Rozumny Koszowy!

Oj byłoż harmideru — choć sprawiano się cicho — za-
nim przyszło do wybrania tych, którzy nie mieli iść na
pohańców!... Sam Koszowy musiał do tego przeznaczać.

Hnat i Dmytro ledwie-ledwie żywi ze strachu...
ale *Hospod' myłowaw* — kazał im Koszowy wiaść
turbany na głowę — znakiem, że płyną do Carogrodu.
No, teraz — będzie termołama! Grzechu nie utaić: oby-
wom w głowie stepowa krasawica...

Strzegła Preczysta wierne kozactwo — przepłynęli Bos-
for szczęśliwie, a druga połowa weszła do Skutari.

Drużyna Koszowego, zebrana w nadbrzeżnych ulicach
miasta, czeka umówionego znaku.

Ataman Szwydki nie marudzi: harmatni wystrzał zna-
kiem, że się taniec rozpoczął... wielka łuna nad Skutari
świadczy, że pył nielada leci z pod nóg kozackich!...

Przeżegnał się Koszowy, skinął na drużynę... turbany
poleciały z głowy, żeby pociemku nie brać się za turków;
hołota jak nie krzyknie: *Stawa Bohu! Huraha!* i wpada na
osłupiałe ze zdziwienia wojsko tureckie!

Oj było-ż tam mięsa! że *hyd'* wspomnieć! Turka ro-
zum odstąpił: rzucają broń i biegną w popłochu, żeby

się skryć za warowne bramy miasta, a kozacy wsiedli na
karki...

Porwał się Sultan, i oczy w słup mu poszły... Tam
Skutari morzem płomieni... tu kule kozackie tłuką okna
pałacu, a ich wojenne okrzyki wstrząsają duszą Mahometa.

To był wojak jakiego znaleźć trudno, i rycerz był
sławny — a tak się uląkł kozactwa, że krzywą szablę od-
pina od boku, i leci do Aja Sofii meczetu, i każe derwi-
szom wzywać pomocy proroka, a sam w prochu korzy się
przed gniewem Allacha, który mu największych wrogów
sprowadził do stolicy.

Pod murami oparło się kozactwo.

„Czy budemo byt'sia?”

Czy budem myryt'sia?”

Możeby i pomyślał nad tem Koszowy, gdyby w tej
chwili nie rozwarły się bramy jednego z pałaców, i dobrze
wymierzona kula nie wpadła pomiędzy kozactwo. Wark-
nęła przekłeta, poszła w kółko, gwiżdży, szypie, jakby
w niej milion siedziało djabłów, proch rozsadził boki —
jak nie zamaluje kozaków odłamami — tak i koło wy-
rąbała pomiędzy siczowymi!

Atamanowi krew uderzyła do głowy; zawrzało i po-
między kozactwem.

— *Propad' wraże!* — ryknął Koszowy z pełnej piersi,
i rzuca się w stronę pałacu. Kozactwo za nim, a Hnat i
Dmytro tuż przy atamańskim boku.

Nie uśpiał turek drugi raz wypalić z harmaty, nie
miał czasu zamknąć wrót żelaznych... kozactwo już na
podwórze!... Huraha! — leci okrzyk, a z nim kopy głów
tureckich.

To pałac Reszyda-Baszy. Kozactwo ma z nim ra-
chunki — teraz pokończy!

— *Mołodci! można pohulaty!* — zawołał Koszowy.

Kozakom tego tylko było potrzeba — wałą na pała-
cowe ganki; a Koszowy z nimi.

Nie lekko marmurowym posadzkom pałacu dźwigać
kozactwo siczowe — pękają pod ciężką stopą! Świszczą
kule tureckie, pocałunki szabel iskrami świecą, okrzyk
kozacki miesza się z głuchym szmerem zwyciężanych tur-
ków; przekleństwa, jęki konających, głos harmat z mu-
rów Carogrodu... muzyka uciészna!

— *Śmierć pohańcom!* — wołają kozacy, brnąc we krwi
po kostki.

— *Żywcem Reszyda!* — zagrzmiał głos Koszowego,
któremu kula odcięła oseledecę, a szabla liźnęła po twarzy.

— Hurah! — ozwały się głosy, i Dmytro pierwszy sko-
czył w ciemne krużganki. Zapomniał o termołamie — jemu
teraz trzeba Reszyda!

Ta nie ten to Basza, żeby się dał wziąć żywcem, a
jeszcze kozakom, z którymi znał się nie od dzisiaj! Póki

jeszcze nie tak było ciężko, tępił krzywą szablę na kozackich czubach, a teraz wziął się do janczarki, i praży kulami, że ciężko wytrzymać!... Niewolnicy podają broń nabitą, a Basza kulę za kulą posyła w ciemne kurytarze, nie pewny: swoich zabija, czy nieprzyjaciół.

Dmytro, sam jeden, przebiegł już dziesiątki komnat. Z szablą w jednej, a z pistoletem w drugiej ręce szuka Reszyda; ostry jatagan trzyma w skrwawionych ustach... Kozaka bies uczy wojować, nauczył i Hnata!

Przebiega kozak komnaty i ganki. Tu widać światło... Silnie kopnął nogą; drzwi rozwarły się na oścież... Oj, źle z kozakiem! wpadł do komnat niewieścich — wpadł do samego raj.

Krasawice z całego świata załęcznione, łzawe; na widok zbrojnego kozaka, rzucają się z jękiem na kolana, błagają litości...

Mięknie kozak-siroma, i kindżał z ust mu wypada, szabla pochyla się...

— *Propad' ty!* — wstrząsł się cały, i szybko wybiega z komnaty — ucieka przed czarnem okiem, przed łabędzią szyją.

Przypomniat Handzię sinooką... przypomniał termolamę...

— Reszyda! Reszyda-Baszę! — woła. — Będzie raj i niebo, tylko mi tego Baszę wynaleźć!... — i strzałą puścił się na dalsze komnaty.

A turkom coraz to gorzej: kozactwo zbija ich do kupy, i praży, że trudno co począć... Cofają się pohańcy, a siczowi krok w krok za nim!

Reszyd-Basza widzi, że sprawa nie dobra; zaprzestał strzelania, i myśli: jakiby znaleźć ratunek?

Trudne poratowanie, bo siczowa hołota nie daje czasu do namysłu. Już tylko kilkunastu Turków broni baszę — reszta leży pokotem; nie długo i ci ustąpią... Ratuj się sługo sultański! bo niedobre czeka cię od kozactwa!

W tej chwili do uszu Baszy przedarł się, przez mury, jęk kobiet haremu — mordują żony i niewolnice!...

Turek zadrzał; rozpaczliwa myśl przemknęła mu przez głowę... Zaśmiał się dziko, i wybiegł potajemnymi drzwiami.

Bodaj się świeciły świetlice kozackie, a bies niechaj zabierze wszystkie pałace! Tam człowiek zawsze u siebie — wie gdzie się obrócić; a w pałacu Baszy siromaszy Dmytro jak w lesie... Biesów by mu trzysta taki zamoroczny, że ani rusz trafić do ładu!...

Szedł górą, dołem, przez wielkie komnaty, korytarze, krużganki — poomacku... a nie tylko że Reszyda nie znalazł, ale odbił się tak od swoich, że ledwie dochodzi go odgłos strzałów... Pohańcy! Czy tu już pochybel ma przyjść na kozaka? Śmiało na przód! Nie może być, żeby przeklęty pałac nie miał gdzie końca...

Ledwie postąpił kilkanaście kroków — buch! i przewalił się w przepaść...

Leciał, leciał... zdawało się do piekła na dno, i upadł w jakąś słomę.

Sława tobi Hospode! a to inaczej i kostek nie doszukałiby się z kozaka...

No, teraz chyba już śmierć niesławna pod ziemią... Gdzie tu u Boga znaleźć jaką poradę? *Pohyb kozak niezawiszcz!*

Ta nie ma nad czem myśleć długo — trzeba poszukać wyjścia... Idzie kozak, a już bezpiecznie, żeby na nową jamę nie trafić, w której może i słomy nie będzie... Maca ściany — wilgotne... gdzieś wpadł do wilczej jamy!...

Szedł tak dobry kawał; słyszy jakiś głos tęskny... słucha: znana nuta...

A bihme! dumka ukraińska.

„Stepom — tuhom witer wije,

Wije zawywaje.

U newoli serce mlije,

Mlije omliwaje“

Kozak słucha i uszom swoim nie wierzy: dumka, szczerza dumka... Czary, czy uroki! To i w piekle żyje Ukraina?...

W tej chwili brzękły łańcuchy, i głuchy jęk doleciał Dmytra... Zrozumiał wszystko: to kozacy w tureckiej niewoli; z ich to piersi płynie smutna dumka...

Puścić braci na wolę — powinność kozaka!

Za głosem nie trudno mu było kierować się... doszedł do drzwi żelaznych... krzyknął po kozacku: *Puhu!* — wszystko zamilkło. Dmytro okrzyk powtórzył; za trzecim dopiero razem radośnie: *Puhu!* odpowiedziało z głębi więzienia, i brzękły łańcuchy, jakby się porwać chciały...

— A jak was wyswobodzić? — huknął Dmytro.

— Rozbić drzwi! — ozwał się głos z wnętrza.

Ba, rozbić! Powiedzieć łatwo; a goła ręka kutemu żelazu nie sprosta!

Zadumał się Dmytro, a tu mu coś brzękło pod nogami; dotyka — klucze! szczere klucze... może od zamku? Próbuje: otwarły się ciężkie drzwi więzienia, i kozak wszedł do pieczary.

Dobrze, że nie miał swoich oczu, bo straszliwe ujrzałby rzeczy. Pieczara długa-długa, niewolników przykutych łańcuchami do skały — było kiedyś wielu... dziś już kilku tylko; reszta zgniła, albo dogniwa pod łańcuchem — nikt nie śpieszy grzebać umarłych...

Oko więźnia — oko sokole! Żywi obaczyli kozaka... Jak nie wykrzykną w jeden głos!... jak się nie rzucą na łańcuchach... Boże ty! nie daj zakosztować niewoli! ale bez tego nikt nie zrozumie: co się dzieje w sercu, gdy nadchodzi wolność!...

Dmytro najpierw zabrał się do rozbijania łańcuchów. Kto się upomniał — został wolnym; kto milczał — *Wiecznaja jomu pamiat'!*

Opadły łańcuchy. Niewolnik stanął — i zapłakał... Żał mu żelaza, czy straconych lat w niewoli?... Młodym zakuto w łańcuchy, *lyearom sławnym* — a teraz zdał się do liry, na dziada...

Policzyli się — dziesięciu... a różnymi czasy było ich w pieczarze trzydziestu kilku — reszta ma u Boga spoczynek.

Niewola nauczy modlitwy — modlą się zatoczeńcy — żegnają pomarłe dusze.

— *Wedy kozacke!* — mówią wreszcie do Dmytra, otarłszy z łez oczy. — Prowadź... Choć umrzeć ze swoimi.

— Pójdziemy razem — odpowiedział Dmytro — bo djabeł tu zna drogę.

— A no; chodźmy!

Idą omackiem. Cicho... Odgłos strzałów, okrzyki... Żle z Turkami! — Jakiś szmer w oddalonym korytarzu... Ktoś biegnie...

nie... Kroki skierowują się w stronę kozaków. Zaparli dech — czekają... Jakaś postać, z pochodnią w ręku, przemyka się kurytarzem — turek... Za nim! Na zakręcie, pochodnia jaśniej, twarz turka oświeca.

— Basza! — poznali go jeńcy.

— Reszyd? — wykrzyknął uradowany Dmytro, aż turek zatrzymał się chwilę w miejscu, nasłuchując... Kozacy zamilkli, basza pobiegł dalej. Za nim! Dmytro o kroków kilka... Zabić Reszydą nie sztuka; ale żywcem pochwycić, jak chciał Koszowy, o! nad czym myśli kozak!

Odmyka Reszyd ciężkie drzwi z żelaza, spuszcza się do głębszego jeszcze podziemia. Kozacy za jego przewodem, a Dmytro na przedzie...

Mróz przeszedł wszystkich po kościach... Reszyd wprowadził kozaków za sobą — do prochowni... Chciał czy nie chciał kozak, a przeżegnać się musiał! Strach spojrzeć śmierci w oczy, kiedy siedzi na kupie prochu!

Basza stanął ponury, słucha... I tu go doleciał zwykły okrzyk kozaków!... Twarz Reszydą skrzywiła się... Jęknął rozpaczliwie, i ciska pochodnię na kupę prochu...
(C. d. n.)

Po śmierci.

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

WALERY (z uśmiechem.)

Mój Pietrze!... (Stasia ukrywa uśmiech.)

PIOTR.

Najprzód: — „To są capy“!...

Nieprawdaż panienczko?... Uśmiecha się... zatem Tak mówiono!... Cóż jeszcze jest powinowatę Dobrem mych pryncypałów?... a! brak wychowania!

STASIA (siląc się na mowę serjo.)

Ej, Pietrze! to nieładnie... Te naigrawania Ranią bardziej...

PIOTR.

Broń Boże!... wszak uśmiech wesóły...

WALERY (tłumiąc śmiech.)

O, daj mu mówić, droga!

PIOTR.

Aktorzy są — woły,

Zdecydowano zatem...

STASIA (zastanawiając śmiech chustką.)

Fe, będę się gniewać...

WALERY (wybuchając śmiechem.)

Ha, ha!... o moja droga! daj mu już dośpiewać To miserere!

PIOTR.

Aktor, ma ze szmat pałace!...

Aktory — komedjanty — skoczki — kpy — pajace: — Były w wyrazie owej opinii słownictwem; Krytyka gizeciarska jest całem dziedzictwem Owych panów, choć czasem ta niewie co pisze... Króciej: królowie sceny — to głośni hołysze!...

STASIA (rzewnie do Walerego.)

Walerku mój!...

WALERY.

O dzięki — jaki uśmiech słodki!...

STASIA.

Słuchaj, pokazywałam papie owe plotki Gazeciarskie — wyrocznie liche twojej sławy...

WALERY (ciekawcy.)

A on?...

STASIA.

O drogi, nie bądź tylko znów tak łzawy Jak przed chwilą... Wszak Piotr już dobrze nam objaśnił, Że raczej śmiać się z tego! — Któżby serca waśnił Z przesadami?... Więc papa spojrzawszy na dziennik Rzekł: „Krytyka?... to błazen! to największy zmiennik Pod słońcem! — Zresztą, cóż że na Parnas go wsadzą Gdy on głodny — a jeść mu gazety nie dadzą!... Krytyka, to szubrawstwo nikczemne — ładaco — Ona poróżnia ludzi z wszelką dobrą pracą, Trąbiąc o jakiejś sławie — o laurach — o wieńcu...“ Lecz tyś posmutniał znowu? O, w twoim rumieńcu Czytam hańbę orzekañ, których nam nie zmienić, Ale właśnie wypada chyba się rumienić...

WALERY.

O sny moje!... Artysta! ulubieniec całej Publiczności!

STASIA.

„Coż przyjdzie ludziom z takiej chwały?“ Mówił papa — „za życia jest to wielkie zero: Artysta żyć zaczyna po śmierci dopiero, I wtedy świat dopiero tworzy dziwolaği Jego wielkości szczytnej, stawia mu posagi, Gdy on ani łaknący już, ani spragniony...“

PIOTR (n. s.)

I kiedy — najważniejsza — nie trza mu już żony!...

WALERY.

Ach, po śmierci — po śmierci odżyjesz artysto!

PIOTR.

Anizeli cię ubiorą w koronę gwieździstą...

WALERY.

Po śmierci!

PIOTR.

Gdy już robak serduszko powierci!

WALERY.

Oh! Stasieczko!...

STASIA.

Walerku!...

WALERY.

Po śmierci! po śmierci!... (Walery ze Stasią szepczą cicho.)

PIOTR (chodząc przemyśliwając.)

Po śmierci?... hm, po śmierci!... Ej, ej — byłby wątek... Papa twierdzi, że może wskrzesić?... na początek Wcale nie źle to!... Pan zaś mój, nieraz w teatrze Grał — umarłych... Do diabła! niech się lepiej wpatrzę W to „po śmierci...“

WALERY (cicho do Stasi.)

O, jakżeż tak razem bezpiecznie!...

STASIA.

Ach, nie budź ty mię ze snu tego.. Z tobą wiecznie!...

PIOTR (j. p.)

I ta wielkość pośmiertna — i te papy cuda — I sąsiedztwo tych dwojga... Ha, może się uda!... Co? powinno się udać! — pewne powodzenie, Byleby chcieli przystać?... (do kochanków głosem tryumfu.) Zbawienie! zbawienie!...

WALERY.

I coż znów za dziwactwo?

PIOTR.

Dziwactwo? — zwycięstwo!...

Zużytkujemy dobrze całe czarnoksiężstwo
Talizmanu „po śmierci!“...

WALERY.

Co mówisz?

PIOTR (*patetycznie.*)

Hosanna!...

Przedewszystkiem; żart na bok — zaś kochana panna
Musi się zgodzić z nami!... A teraz do rzeczy: —
Że wielkość z śmiercią wzrasta, czy mi kto zaprzeczy?
Otóż — śmierć! i raz jeszcze — śmierć, nadzieją całą!...

WALERY.

Czyś oszalał?

STASIA.

Ach, jeszcze by tego nie stało!...

PIOTR.

Ha, ha, ha! przestraszyłem jak fuzją turkawki...

STASIA.

Ba, śmierć!

PIOTR.

Aj, nie prawdziwa śmierć — ot, dla zabawki
Śmierć, udana!...

WALERY i STASIA (*razem.*)

Udana?!...

WALERY.

Zaczynam pojmować...

STASIA.

Myśl dziwna!... Więc nie chciałbyś po śmierci pochować?...

PIOTR.

Ale gdzie zaś...

WALERY (*radośnie.*)

Wybornie!

PIOTR (*do Stasi.*)

To by było ślicznie!...

WALERY (*wesoło do Stasi.*)

Droga! on dobrze myśli!... Ha, umrzeć — praktycznie!
Tak.. z poczuciem najlepszym swej pośmiertnej sławy!...

PIOTR.

To, to, to... właśnie, umrzeć tylko dla zabawy,
I swoją wielkość trupią mieć jeszcze za życia...

WALERY (*ściska Piotra serdecznie.*)

Piotrusiu, niech cię kaduk!...

STASIA.

Lecz umrzeć...

PIOTR.

Bez gnicia

I robaków, przysięgam!

WALERY (*ciesząc się jak dziecko, do Stasi.*)

Śzalona idea!

Stasieczko!...

PIOTR.

Ale nie czas teraz na Romea

Lub Karlosa — i chwili nie ma do stracenia...

STASIA.

Objasniżę mi...

WALERY (*upewniając.*)

Miła, trochę powodzenia:

Dobrze będzie!.. Ja zmieram...

PIOTR (*uzupełniając.*)

Nagle —

WALERY.

Skrzydłem wiatru

Piotr roznosi wiadomość...

PIOTR.

Do kawiarni — teatru —

WALERY.

Popłoch. — Każdy już widzi śmierć na własnym nosie,
Kto widział mię niedawno...

PIOTR.

Wczoraj, w Don-Karlosie —

WALERY.

Na afiszu najnowszym czytają mą rolę,
A to zpotęgowuje bardziej aureolę
Pośmiertną...

PIOTR.

Tłum ciekawych roi się przed domem...

WALERY.

Kto wczoraj kpem nazywał, mieni już ogromem!...

PIOTR.

Młodzieńczy trup rozczuła najtwardsze centaury —

WALERY.

Pełen nadziei! krzyczą...

PIOTR.

Znoszą kwiaty, laury

Na trumnę...

STASIA.

Ależ... przebóg! gdzież nam w tem porada?..

PIOTR (*mruga na Walerego znacząco.*)

Już o nie więcej niechaj panienka nie bada —

O tem, co z tego może być, nie wiemy sami...

Podobny żarcik jednak nikogo nie splami,

Tem mniej skrzywdzi — a samym, bardziej nie zaszkodzi,

Nawet ulepszyć może: boć ta śmierć łagodzi

Najtwardszych nieprzyjaciół i największe wstręty. —

WALERY.

Wierzaj, droga! to żadne nie będą wykrety

Podle... Niech cię ta trupia maska nie przestrasza:

Jej celem, przekonanie naoczne Tomasza

Niewiernego o pewnych istot człowiekaństwie,

Których on dotąd w ludzkim widział społeczeństwie

Wyrodkami — bez zasług — z pracą pożyteczną

Poróżnionych... (*Stasia ociera tęcz.*)

O miła! w tę ranę serdeczną

Dłoń włożywszy, on uzna nasze ludzkie prawa,

I nie odgrodzi szczęściu.. Czemużes tak łzawa

Stasieńko?... O! bądź tylko dobrej, błogiej myśli —

To miłość nasza biedna takie środki kreśli...

Nadzieję!...

STASIA.

Dobrze, dobrze! więc coż mi wypada

Czynić?...

PIOTR.

Niechaj panienka napowrót się skrada

Do swego pokoiku, tak niepostrzeżenie

Jak przedtem do nas — słówkiem nie więcej o scenie!

Owszem, udać przed papą obojętność pewną

Dla... aktora —

WALERY.

Stasieńko, czemuś ty znów rzewną?...

STASIA.

Dalej — dalej —

PIOTR (*znacząco.*)

O wszystkim... nie pisać nikomu!

Aż gdy już głośnie krzyki rozniosą po domu:

Żyje! żyje! zmartwychwstał!... jakby na skinienie

Potrzeba zejść tu do nas... (*całuje jej rękę.*)

Kłaniam uniżenie!

STASIA.

Dziej się więc...

WALERY.

Tys najlepsza!..

PIOTR.

Reszta się ułoży

Sama przez się... A teraz do dzieła, kto hoży!

STASIA.

Oddalam się — postąpię jak mi naznaczono...

Walery!...

WALERY.

O, miej ufność! wszakżeś powierzona

Miłości mojej!

STASIA

O, tak — tak! jestem spokojną. —

Bądź zdrowy!

WALERY (*odprowadzając ją do drzwi.*)

Do widzenia... W szczęściu?...

(*Chwila niemego pożegnania. — Stasia wybiega.*)

(C. d. n.)

PIERWSZA MIŁOŚĆ KORREPTYTORA.

Luźne kartki zebrane

przez

AURELEGO URBĄŃSKIEGO.

X.

Chciałem rozdział ten ozdobić caluteńką moją przemową do panny Barbary, lecz to jest rzeczą niemożliwą — bo ją zapomniałem. Że zaś to była oracja na swoim miejscu, z godnością, elokwencją i erudycją wyrzeczona, o tem czytelnik nie wątpi.

Krótko mówiąc z tej mojej przemowy, dowiedziała się panna Barbara, że Wichrowicz był u Fatalskich z jakąś panienką, że się oboje całowali (to był dodatek, ale konieczny), że mówili sobie ty a ty, że się śmieli oboje do rozpuku i wymówili w śmiechu drogie mi imie panny Barbary. Zakończyłem zaś takowem *finale*:

— Widzi panna Barbara! Wichrowicz całował pannę Barbarę w ramię, półtora cala nad — nad obojczykiem, pozwolił mu panno Barbaro siedzieć koło siebie, maltretować mnie przy sobie; ale co jeszcze ci nie wiadomo, ów Zefiryn powalał mi atramentem nowiuteńkie prześcieradło, łokieć płótna po cwancygierze, wyrzucił słój z zakonserwowaną ropuchą za okno, rozbił mi na nie kapitalne lustro — i oto ten sam człowiek całuje teraz inne panny, jak całował pannę Barbarę, śmieje się z panny Barbary z drugimi, jak śmiał się z panną Barbarą ze mnie, i wymawia imie panny Barbary, jakby to było moje lub jego własne... O panno Barbaro, panno Barbaro! nie pozwól się więcej pocałować; nie dopuść, by ten nędznik siedział między mną a tobą; nakaż mu, by twój próg laskierki jego nie przekraczały; nie dozwól, by mi gniótł nagniotki, poniewierał prześcieradła, rozbił lusterka i wyrzucał słoje, i nie śmieje się z nim więcej z tego, którego on nazywał osłem, wołem i ułamkiem, a który jest twoim najszczerzszym... — Tu urwałem, dodawszy po chwili — listonoszem!

Taka tyrada nie każdemu i nie zawsze udać się może! Dlatego to po trzykroć odkaszniałem i otarłem skronie z ciekącego strumieniami potu.

A panna Barbara?

Panna Barbara, stała chwilę jak posąg; potem kazała sobie raz jeszcze wszystko powtórzyć, co słyszałem w domu fatalnych Fatalskich; co gdy skutecznym, zbladła, westchnęła, jęła, krzykła, łzy puściły się jej z oczu, i padła jak nieżywa na trawnik, w środku między nieszczęsnym płotem i woniejącą gnojówką.

Teraz dopiero jestem jak w rogu! Poco tu było mdleć?... Zkąd się wzięły spazmy?... Co ją to obchodzi tak wielce, że Wichrowicz całuje inne panny?... Wszak to korespondencji z Teklunią nie stoi wcale na drodze?... Zgłupiałem!

Panna Barbara szlocha w mdłościach na trawie; w ogródku ani żywej duszy, pod ręką ani wody, ani spirytusu, ani żadnej rzeczy, która cyruliką jest.

Cicho!... ktoś nadchodzi — to Magdalena, idąca rznąć kury za płotem... Szczęsny! Uczyniłeś swoje — możesz odejść.

I powróciłem do miasteczka. — Zemsta dokonana!

XI.

Zdjawszy buty, które mnie do szaleństwa gniotły, siadłem w oknie, i zamyśliłem się.

Nad czem myślałem? zorientować się nie mogę, ale dość, że nagle nowa myśl zaświtała mi w głowie.

Panna Barbara przekonana o niecnosci Wichrowicza; więc jakby się kiedy przypadkiem oświadczył, da mu kosza... Oprócz niego i mnie nikt z młodzieży nie jest w bliższych stosunkach z panną Barbarą; więc nas dwóch tylko może mieć jakoweś nadzieje. Wichrowicz, jak dowiodłem, odpada — a jeden od dwóch zostaje jeden, a tym jednym jestem — ja.

Co tu robić?... Dziś mam szaloną odwagę; zdemaskowałem Wichrowicza, zdemaskuję i siebie... otworzę moje serce!

Ale ciocia Piórkiewiczowa najlepiej mi poradzi. Bo ciocia Piórkiewiczowa ma w tym względzie wielką rutynę.

Ale czyniąc podobny krok pierwszy raz w życiu, nie mogę to snadniej uczynić, jak w liście; więc siadam i piszę do cioci Dobrodziejki jak następuje:

Wielce szanowna Ciociu Dobrodziejko!

Wiele, bardzo wiele miałbym pisać szanownej Cioci Dobrodziejce, bo wiele, bardzo wiele gniecie moje łono, a niespokój we mnie rośnie w kwadratowym stosunku ze słowami, które pióro moje za inkaustem sączy. Naprzykład mógłbym skarżyć się, że nie mam już ani grosza w kieszeni, że buty, które mi Ciocia Dobrodziejka na swój rachunek sprawić kazała, kończą już swoją uciążliwą korreptytorską służbę, że wychowañcy moi po największej części, kubiczni hebesy, przyprowadzą mnie do gardłanych suchot... lecz raczej dam temu spokój, i jako człowiek rachunkowy streszczam moje słowa, i przystępuję do interesu.... Ciociu Dobrodziejko! — 1. Kocham się, kocham szalenie. Ale w kim? — 2. Kocham się w pannie Barbarze wice-burmistrzówny na zabój. Ale chcesz wiedzieć od jak długiego czasu? — 3. Kocham się w pannie Barbarze już od trzech miesięcy, odkąd kulawemu Jacusiowi podyktowałem, że 2 razy 2 jest 7, bo właśnie wtenczas panna Barbara przeszła po raz pierwszy przez

pokój. Ciociu Dobrodziejko! Że straciłem głowę, mimo, iż takim byłem algebrzystą, że całe rzędy cyfer mnożyć potrafiłem na pamięć, o tem Ciocia Dobrodziejka zapewne wątpi, a jednak tak jest w istocie — dlatego — 4. Upraszam przez chłopca, który Cioci Dobrodziejce ten list odda, odwrotną przeselką udzielić mi rady: co uczynić, jak czynić i kiedy co czynić należy. Czego wszystkiego oczekując, zostaje. — 5. Do śmierci przywiązanym kuzynem
Szczęsnym.

Ten list odesławszy przez ogrodniczka Pawelka, usiadłem czekając odpowiedzi.

Uciążliwą *per pedes apostolorum* podróżą znękanie członki ułożyły się jakoś miękko i wygodnie, głowa pochyliła się zwolna ku macierzyńskiej ziemi, ręce omdlały, powieki się przywarły — usnąłem.

I miałem sen, sen luby, sen rokoszny...

Najpierw zrobiło mi się czarno przed oczyma, jak gdyby przedemną stała olbrzymia, niezmiernie czarna tablica, gąbką na czysto z kredy wytarta, jak to zawsze mieć lubię przy eksplikacji wyższych i niższych rachunków... Po chwili czarne tło zaczęło zaludniać się mglistymi postaciami. Najpierw zjawił się opasły pan wice-burmistrz, tym razem w zwykłej swej barwie nosa, granatowej; ubrany był w żółte nankinowe pantalony, podobniuteńkie jak dwie krople wody do tych, które miałem na sobie przy pierwszych moich fatalnych odwidzinach w Przecznicach; biała kamizelka trochę przykrótka, jak to u niego zwyczajem, nie zakrywała całkowicie brzucha, i pozwalała dojrzeć połatanego, lecz batystowego i rączką panny Barbary haftowanego półkoszulka, który na szyi seledynowym związany był halsztukiem. Frak brudno-fioletowy od święta, z długimi szosami i opatrzony dwoma rzędami metalowych guzików; biały kastrocyylinder i trzcina z kościaną gałką w ręku, uczesane (prócz łysiny) włosy, potężne kołnierzyki i całe słoniną wysmarowane buty, uzupełniały ten świetny garnitur. Przywiązany zaś pan Chrapiełło był do kolosalnego bukietu, który chód jego tamować się zdawał... Uśmiechnął się do mnie, a zmieniawszy granatową barwę swego nosa na bladawo czerwoną, (co było u niego oznaką dobrego humoru) zniknął w ciemnej oddali...

Po nim przykułał hebes Jacuś, jakoś mniej jak zwykle kulawy, z nie tak bardzo odstającymi uszami, skubiąc niemały również bukiet u boku. Jacuś pokazał mi język, potem zrobił tak zwaną finfę, i skończywszy na geście szczypania, porachował bacznie guziki mojego tużurka, a widząc, że ostatni znikł z jego przyczyny za ostatnią moją u papy bytnością, uśmiechnął się znacząco, i znikł w ciemnej oddali...

Dalej jednym rzędem nadbiegli trzej młodzi Fatalscy. Pepcio nie lizał jakoś ust, Npecio nie gryzł paznokci, a Fipcio nie dłużył w nosku, lecz wszyscy trzej deklinowali zacięcie na całe gardło, przekrzykując jeden drugiego, przyczem mniej jak zwykle robili błędów... Za nimi jak cień nieodstępny przesunęła się pani Fatalska, prowadząc pod rękę pocziwego swego ex-komisarza. Oboje byli w świątecznych ubiorach i nie sprzeczali się z sobą. Znikli w ciemnej oddali...

Potem nadpłynęła w szerokiej, czerwonej krynolinie (od Lewickiego we Lwowie, ulica Halicka, Nr. 170) moja

ciotka dobrodziejka, pani adjunktowa Piórkiewiczowa, z uśmiechem pokazując ostatni swój ząb nadpróchniały, który zdawał się czernieć z tęsknoty po utracie swoich towarzyszy. Ciotka adjunktowa trzymała odpowiedź na mój list w ręku; rzuciła mi ją na stół, i znikła w ciemnej oddali...

Za nią milezkiem nadlaźł Wichrowicz: żółty, chudy, zgarbiony we dwoje, że wyglądał raczej na arabską 3, owinięty, jakby w całun pogrzebowy, w moje atramentem owalane prześcieradło. Pokazał głowę rozpaczliwie, i znikł w ciemnej oddali...

W koncu zabrzmiał w powietrzu chór głosów mieszanych naszego miasteczka, między którymi rozeznałem chrapliwy bas organisty Patelni, i piskliwy dyszkant aptekarza Miksturkiewicza, melodia chóru (nie mam ucha muzycznego, więc trudno mi rozsądzić) trzymała środek między kołomyjką a *veni creator*; dzwony dzwoniły, mōdzierz strzelały, bębny bębniły — i...

Pokazałem się ja z paną Barbarą pod prawem ramieniem. Miałem na sobie pantalony ex-komisarza (trochę za przestronne), czarny raitfrak tenorzysty aptekarza, trochę na mnie za wązki, i białą pikową kamizelkę, którą dostałem od pani pocztmistrzowej Dryndalewiczowej na moje imieniny. Panna Barbara miała na sobie białą suknię z długim ogonem, białe welon z szerokimi wstążkami, białe buciki atlasowe na wysokich korkach i wianek zielony na głowie. Oboje mieliśmy bukiety. Ja szedłem z nią wesolą i tryumfującą, panna Barbara, jak to zwyczaj u każdej panny Barbary, czy nie Barbary, zanosila się od płaczu. W koło nas płaśały radośnie w powietrzu same decymalki, ułamki, logarytmy, potencjonalki, pierwiastki, sumy, produkta i kwotyenty, a za nami szła muzyka. Brodaty Jankiel dudnił na basach, węgier Janos (były sługus oficerski), suwał smykem, aż skrzypce trzeszczały, Borba, kalikant przy miejskiej farze i zarazem podorganisci, dmuchał w trąbę, kształtem i głosem podobną do trąby archanioła, a mały wnuczek Jankla, rudy Lajbuś walił w wielki bęben, i tak silnie okładał go niecnota pałeczkami, że aż mnie ze snu obudził.

Otworzyłem oczy. Pastuch pędzi uliczką bydło z pastwiska, i piszczy na fujarce, a bednarz sąsiad nabija właśnie pod mojem okienkiem obręcze. Ale co ważniejsza! Na stoliku przedemną leży list od ciotki Piórkiewiczowej, a we drzwiach chrapie Pawełek, czekając aż się przebudzę, i tym sposobem uzupełniał tercet, zastępując nieborak Janklowe basy.

Budzę więc Pawelka, czytam odpowiedź, i oglądam przyslaną mi wraz z listem parę przenoszonych butów.

Ach ciociu dobrodziejko! Za buty dziękuję, bo takie rzeczy zawsze się przydadzą... Ale co do listu, lepiej żeby go nie było wcale! — Bo cóż mi po nim? Dowiedziałem się tyle z niego, że jestem osłem, i nie więcej. Żeby to ciocia Piórkiewiczowa poszła była do pana wice-burmistrza i oświadczyła się za mnie, potem do panny Barbary, i oświadczyła się za mnie, potem do księdza proboszcza i dała na zapowiedzi za mnie, potem, żeby ożeniła się za mnie — ach! w takim razie dodatek pod 5) Nie bądź po raz drugi takim osłem, a ja twoją kochającą ciotką, Piórkiewiczową byłby niepotrzebnym... (D. n.)

Recenzje.

Świeżo opuściła prasę „Powieść z dawnych czasów” — skreślił Maurycy Dzieduszycki. Treść tej powieści jest następująca:

Jan Kurdwanowski, sąsiad starosty Czorszyńskiego, pozyskawszy wzajemność jednej z dwóch córek jego Heleny, a pewny, że mu ręki jej odmówią, łączy się z nią ślubem tajemnym, i uprowadza żonę na Ruś. W ucieczce, dopędzony przez brata swej żony, broniąc się, zabija go. Osiadłszy na Rusi, nowi małżonkowie mają syna i córkę. Pierwszego kradną prawdopodobnie cyganie, druga wcześniej bardzo traci matkę, którą wędziło do grobu przekleństwo zagniewanego ojca.

Po śmierci żony, Kurdwanowski, gdy jeszcze przypadkiem nogę złamał, w zadośćuczynienie śmierci szwagra, postanawia życie swe Bogu poświęcić; oddaje córkę opiece jej chrzestnych, a sam zostaje pustelnikiem pod imieniem ojca Antoniego.

Po klątwie rzuconej na Helenę, jedynym spadkobiercą fortuny starosty miała być młodsza jego córka Anna, żona kasztelana Bieckiego; żal jednak i skrucha kazały umierającemu ojcu zniszczyć wydziedziczający córkę testament, co też uczynił w przytomności kasztelanstwa, swego szatnego Skolysza i Marty powiernicy kasztelanowej.

Kasztelanowa nie życząc podziału majątku, postanowiła uczynić wszystko, byle fortuna w jej ręku została. Po śmierci Heleny i zniknięciu męża, należało do rąk swych dostać małą Helunię, ich córkę. Gdy coś podobnego nie było zbyt łatwym, Marta zadaje dziecku truciznę w pierniku; spieszny jednak ratunek zapobiega śmierci, i Helę powierzają opiece pani Stolnikowej, mieszkającej w głuchem ustroniu, gdzie zdrowo chowa się do lat dziewiczych, zniknąwszy z oczu kasztelanu Bieckiego — jednak nie na zawsze. Kasztelanstwo dowiedzieli się o miejscu pobytu Heleny, ale już wtedy, gdy siostrzenica kocha i jest kochaną przez Stanisława, chorążego husarji.

Kasztelanstwo podstępem porywają Helenę. Kochanek śpieszy na ratunek swej miłej, a porozumiewanie się z kochanką ułatwia mu młody Walek lutnista; upomina się o Helę Stolnikowa, wreszcie Podkomorzy koronny — ale kasztelanstwo oświadcza, że stanowczo, iż jako najbliżsi krewni, Heleny nikomu oddać nie mogą, chyba tylko ojcu — o którym byli przekonani, że już nie żyje... a tymczasem postanawiają, na wszelki przypadek, połączyć Helenę z swym synem Hieronimem, utrzymując, że jako dla sieroty nic nie posiadającej, jest to wielkim zaszczytem. Wszystko zdaje się sprzyjać kasztelanstwu: posiadający tajemnicę przywrócenia córki do praw przez nieboszczyka Starostę, jak na rozkaz, ustępują z widowni: Marta została pożartą przez wilków, a szatny Skolysz umarł naturalną śmiercią.

Interesowani jednak nie wiedzieli, że umierający zeznał urzędowo: jakie prawo ma Helena do majątku zawładniętego przez kasztelanstwo, i oprócz tego wskazał jeszcze dwóch żyjących, którzy byli świadkami ostatniej woli starosty — „przez uszanowanie” ukryci za kotarą. Obeszło się jednak bez interwencji tych ostatnich, bo niebezpieczeństwem w którym się znajduje córka, przerażony ojciec Antoni zjawia się na dworze bieckim, jako Kurdwanowski; swoim widokiem przyprowadza o śmierć kasztelanową, zabiera córkę, łączy ją ze Stanisławem, a chociaż czytelnik nie wątpi, że Walek jest małym Stefcem synkiem Kurdwanowskiego, ukradzionym przez

cyganów — ojciec dopiero po śmierci jego dochodzi do przekonania, że nie Walek, ale Stefan utonął w strudze...

Treść, jak widzimy, dość rozmaita. Miłość, porwanie, trucizna, śmierć wreszcie — ale w utworze, w razie najszczerliwszym, jest tylko szkic powieści, a prawdy we wszystkim bardzo mało. Pretensje na powieść historyczną nie wystarczające, znajomość duszy i serca bardzo wątpliwa; co podobniejszego do prawdy, to żywo tchnie przepisaniem ze starych książek szlacheckich, jak: spis potraw dziś nie znanych, opisanie strojów i t. d. Niektóre koncepty spotykające się w książce kwalifikują pracę autora do utworów, o których wspomina on na drugiej karcie epilogu...

Wiele rzeczy budujących znaleźć możemy w książce pana D. Najpierw: gromy na dysydentów — to konieczna! traktowanie włościan jako lud ek, któremu się płaci za śpiewanie pieśni... (str. 11.) że przeszłość Heleny jest poszlakowaną, bo jest dzieckiem rodziców, którzy się pobrali wbrew woli ojca (str. 56) A jeśliby kto pragnął dowodu, że przed Kochanowskim tak oświadczały swą miłość kochankowie, jak w XIX. wieku na deskach teatru — znajdzie go w powieści p. D. na str. 85. sam zaś autor kilka dobrych dla siebie wskazówek ma w epilogu własnej powieści. Wiele z tego co mówi o innych bardzo stosuje się do niego...

Bylibyśmy jednak niesprawiedliwymi odmawiając książce pana D. wszelkich zalet. Ma ona i swe dobre strony: chociażby i tę nawet, że samodzielnie zjawia się na widowni — dziś, gdy wszystkim niemal są dzienniki. „Na bezrybie i rak ryba!”

Rozmaitości.

* Pan Z. Miłkowski nadesłał nam „Toast wygnańców w rocznicę powstania styczniowego. Wiersz czytany na bankiecie emigracji polskiej zamieszkałej w Belgji, dnia 22. stycznia 1868, w Brukseli,“ — który tu zamieszczamy.

Jakiż toast wychylić w imię Polski zabitej?..

Popiół grobów oczyszczonych wsypać w urnę krwią ciepłą —
I z tą urną dymiącą iść na białe gór szczyty —
I z wysoka ją rozbić o pierś świata zakrzepłą!

Z dawnych marzeń płomiennych wielki ogień tam skrzeseć,
Żeby zemsta zajaśniała w pośród zbrodni wszechnocey —
Sztandar Polski rozdarty nad tym ogniem rozwiesić —
Potem w dłonie skrwawione porwać bardon sierocy,

I zawołać na Ludy strasznym głosem rozpaczny:
Nie widzicie, że z nami i was cary pochłona!
Od dnia naszej ofiary świat wasz łupem siepaczy —
Na ołtarzu z Nadwiśla wasze trupy dziś płoną!..

Potem zaśmiać się głośno — by się nieba zbudziły!..
O, wy znacie, Rodacy, ten śmiech bólu i cześci!
Kto na śmiech ten grobowy w piersi dosyć miał siły,
Ten skamieniał na wieki — jako posąg boleści!

Nas już rozpacz nie złamie, ani ogień nie spali —
Bo my Matkę widzimy, jak Ją wrogi bezczeszczą —
Bośmy ze krwi i z bólu i z dziejowej my stali —
A pierś nasza tak wielka, że się wieki w niej mieszczą.

A więc bracia-wygnańcy! Stójmy czyści na straży!
Czy za Krajem, czy w Kraju — i o głodzie, o chłodzie!
Naprzód, prosto i wiernie — jako zastęp husarzy —
Walcmy, żyjmy z Narodem, dla Narodu, w Narodzie! —

Taki toast mój, Bracia, w tę rocznicę Powstania!...
O wolałbym zapłakać, bo me serce w żalobie —
O wolałbym wam śpiewać hymn samotny wygnania —
I wraz z wami ukłęknać na Ojczyznę mej grobie!

I wolałbym paść kornie na te smutne cmentarze,
I podłuszczać z za grobu Pacierz jednej nam Matki!
I na strunie ożywić bohaterskie te twarze,
Co zginęły, lub giną wśród śniegów Kamczatki!

Lecz łzy nasze są dla nas! Dla Ojczyzny krew nasza,
Bo nie łzami się Naród do Wolności wyniańczy!
Nasza pierś dla nadziei — nasza dłoń do pałaza...
A więc naprzód i z wiarą! — To mój Toast Wygnańczy!

* Od nowego roku wychodzi w Piekarach na pruskiem Górnem Szląsku polskie czasopismo „Zwiastun górnośląski.“ Oprócz wiadomości kościelnych i politycznych zawiera pouczające artykuły z gospodarstwa itd. Cena ćwierćroczna wynosi 10 śr. czyli 60 kr.

* W Chełmie w drukarni p. Danielewskiego zaczęło wychodzić nowe pismo dla dzieci pod tyt. „Niańka.“ — Tegoż p. Danielewskiego spotkała klęska ogniowa, zgorzał jego dom; jednakże wydawnictwo jego nie ustaje.

* Królowa angielska Wiktorja za swój pamiętnik wzięła 100.000 zł. Piękny dochód!

* Członkowie Theatre français zamierzają postawić pomnik zmarłemu Ponsardowi.

* Król saski ma posiadać w rękopisie własne dzieło o Dancie, jak utrzymują, nie małej wartości.

* Biblioteka publiczna w Kopenhadze otrzymała w darze książkę jedyną w swoim rodzaju, bo pierwszą, która była wydrukowaną w Danji w roku 1482 u Jana Snolle p. t. G. Caorsius descriptio obsidionis urbis Rhodis. Drugi egzemplarz tej książki posiada biblioteka uniwersytetu Upsalskiego.

* Panowie Miethek i Wawra przystępują do wydawania fotograficznego albumu arcydzieł sztuki malarskiej, znajdujących się w wiedeńskiej galerji belwederskiej.

* Dr. Rzepecki w Poznaniu, zmuszony przez Prusaków do przerwania czasopisma „Oświaty“, rozesłał, zamiast należących się jeszcze zeszytów pisma, swoim dawnym abonentom dziełko Jędrzeja Śniadeckiego. „O filozoficzem wychowaniu.“

* Anglia uczuwa potrzebę picia herbaty, i na ten cel sprowadza z Chin tylko 45 okrętów wyładowanych wonnem liściem, a z Indji 32. Nielada musi być pragnienie gdy go 75 okrętami herbaty zaspokajać potrzeba!

* W Bonn modeluje się pomnik dla Linkolna, zamówiony dla Waszyngtona.

* Statystyka ludności Londynu. Londyn miał w roku 1861, 2,803.989 mieszkańców. Od tego czasu powiększyła się cyfra mieszkańców o 809.082 mieszkańców. — Obszar miasta zajmuje 77.997 morgów. Dzieci rodzi się 308 dziennie albo 13 na godzinę. Umiera dziennie osób 193, czyli 8 osób na godzinę.

* „Narodne Listy“ w Pradze podając zamieszczoną w piśmie naszym wiadomość o wyjściu pośmiertnych utworów F. Lipińskiego, popełniły niedarowaną omyłkę, bo zamiast powiedzieć: *Scène dramatique de la poesie: „Mohort“ de Vincent Pol*, wydrukowały: *Scène dramatique de la poesie: Mort de Vincent Pol*. — Mohort a śmierć — dwie rzeczy różne!

* (Sen sześciomiesięczny.) W Genui zdarzył się wypadek, że 3 października r. z. zmarł w szpitalu św. Jana młody człowiek, nazwiskiem Giovanni Paterelli, rodem z Valdacci, w wieku lat 24, który od 3 kwietnia r. z. zostawał w letargu i nie obudzał się do chwili zgonu; więc całe pół roku był w letargu.

* W Wiedniu zawiązało się przedsiębiorstwo chowania umarłych na wielką skalę pod firmą: „Entrprise des pompes funebres.“ Pomienione przedsiębiorstwo w bardzo elegancki sposób grzebie trupów — a za tanie pieniądze. Można sobie wyobrazić jak mile patrzą inni liczni przedsiębiorcy tego rodzaju, na tak niebezpiecznego konkurenta. Inseraty dziennikarskie i rozprawy sądowe wiele mogą opowiedzieć o tej walce zarobkowej między właścicielami „interesu grzebania umarłych“ (Leichenbegräbnisgeschäft).

Bardzo dowcipnie postąpił sobie jeden z takich dobrodziejów ludzkości. Oto porozysłał do wszystkich znakomitszych domów drukowane wezwania, żeby odbiorcy tych kartek nie polecali się chować nikomu, tylko jemu; że on pochowa ich nieboszczyków z największą elegacją i komfortem — a tanio.

* Do pewnej znakomitości wiedeńskiej, będącej na pogrzebie jakiejś bogatej damy izraelitki, rzekł jeden ze znajomych:

— Coż świat na to powie, że pan chodzisz po żydowskich pogrzebach? kiedy powszechnie wiadomo jakim pan jesteś nieprzyjacielem wybranego narodu.

— A, niech tam sobie świat o tem mówi co mu się podoba; pomimo to byłbym najszczęśliwszym człowiekiem, gdybym mógł w mojem życiu być na pogrzebie w s z y s t k i c h żydów.

(Mody.) Opis ryciny.

1. Ubranie głowy na wieczór. Przód tej koafiury składa się z dziesięciu małych bandletek wypukłych; dwie z nich umieszczone na czole, są zlekka falowanemi; inne zaś boczne są podniesione z tyłu. Na tych ostatnich położona fryzura z włosów fałszywych imitująca bandlety, spadające na gładkie szajtle. Szinion składa się z koków prostych ustawionych bardzo wysoko. Ta koafiura jest pudrowaną, i ozdobiona wieńcem róż nierozkwitniętych z liśćmi.

2. Czepeczek ranny. Składa się z ryżek muszlinu, i jest otoczony wysokim garniturem również z muszlinu. Garnitur ten jest jeszcze obszyty małą koronką; wierzch ozdobiony różą koronkową, pod którą są przymocowane szerokie wstążki, zastosowane do koloru.

3. Czepeczek obiadowy złożony z czerwonych wstążek aksaminitych pokrytych trzema wstawkami gupirowemi. Bawolecik składa się z koronki gupirowej, której końce uwieńczone różą. Wstążki są z białego atlasu i wiążą się w fontań z aksamitu pod szyją.

4. Fichu Marie-Antoinette. Środek jej składa się z boullonee muszlinowego z szerokiej koronki gupirowej i wstążeczki aksaminowej ułożonej w zygzaki. Różę z gipiury wstawiane między zęby; wierzch ozdobiony małą ryżką z atlasu białego. Dwa końce formując szarfę wiążą się z tyłu, i uzupełniają pełną elegancji całość.

5. Stanik wieczorny. Stanik ten nie ma rękawów, i jest z przodu zaokrąglony. Robi się z tafty jasnego koloru; jest przyozdobiony szerokimi wstążkami gipiurowymi, i nosi się na staniku muszlinowym w małutkie fałdeczki.

6. Suknia do pokoju — robi się z białego, jak też z aksamitu rozmaitych kolorów. Jest zaokrąglona na przodzie, ma długą baskinę z tyłu; ale baskina nie rozpoczyna się jak dopiero poniżej ręki. Suknia ta jest przyozdobiona złotym sutaszem; rękawy zlekka zciągnięte ku łokciowi, a bardzo ciasne u dołu.

7. Fichu wieczorne z muszlinu gładkiego — złożone z boullonee rozmaitej szerokości. Większe zostają przezroczystymi, a pod najwęższe z nich przesuwają się wstążka z tafty. Jest ozdobiona szeroką gipiurowaną koronką, zarówno jak i otoczenie szyi.

8. Fichu z muszlinu w małe fałdeczki — ułożone na przedzie w kształt serca. Ten rodzaj fichu ozdabia się szeroką w ukos krawaną taftą, i jest obszyta brzegiem małą gipiurą; otoczenie z gipiury szerokiej.

(Z magazynu mód Władysława Lewickiego.)

 Dodatek: kolorowana rycina mód. 

T R E Ś Ć :

Na stepie (c. d.). — Po śmierci (c. d.). — Pierwsza miłość korrepetytora (c. d.)

Recenzje. — Rozmaitości. — (Mody.)